

Mateusz

Rudowolska trzęsie się jak w napadzie szału, brakuje jej tylko piany na ustach. Przebiega wzrokiem pod nas, a potem po drabinie przerzuconej z dachu ponad wysokim płotem, gdzie u góry szeregi drutu kolczastego ciągną się między zakrzywiającymi się łukiem do wewnątrz słupami. Potem jej spojrzenie przenosi się na rozwidlony konar po przeciwnej stronie płotu, na którym opiera się drugi koniec drabiny. Drabina kończy się na wysokości jakichś pięciu metrów nad ziemią. Rudowolska ma taką minę, jak gdyby rozwiązywała w głowie jakieś trudne zadanie matematyczne.

- Jak długo już ich nie ma? - pyta w końcu.

- Anki nie było na obiedzie - mówi Mirka. - Skarżyła się na ból głowy i poszła spać. Adam wyszedł ze świetlicy chyba jakąś godzinę temu, żeby zajrzeć do sypialni dziewczyn i zobaczyć, co się z nią dzieje.

Mirka nie wspomina, że Anka wyglądała, jakby właśnie miała widzenie z duchami i podobno majaczyła od rzeczy. Wcale się nie dziwię, bo Rudowolska jest już wystarczająco zdenerwowana. Otwiera usta i zaczyna się pruć, tak, jak nigdy jej się to nie zdarzało do tej pory.

- I czy nikomu z was, niewydarzone tłumoki, nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić do fundacji? - wrzeszczy z furją, o jaką nigdy bym ją nie podejrzewał. Niektórzy nauczyciele krzyczą na lekcjach; niektórym puszczają nerwy, a innych chyba nikt nie

wychowywał, więc mówią do nas różne dziwne rzeczy, ale Rudowska w czasie lekcji nigdy nie podnosi głosu, nawet jeśli komuś zdarzyć się po raz setny zapomnieć pracy domowej albo oddać pustą kartkę na kartkówce. Tym razem zachowuje się jak większość nauczycieli: namieszała, a teraz awanturuje się, jakbyśmy to my byli wszystkiemu winni.

Zaczyna chcieć mi się śmiać. Wykręcam się, żeby nie parsknąć jej prosto w nos, bo nie mam zamiaru podpaść i stawać do odpowiedzi na każdej lekcji. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś nazwał kogoś niewydarzonym tłumakiem. Może wywarłoby to wrażenie na dzieciakach z podstawówki, ale mnie aż skręca i odsuwam się za plecy dziewczyn, żeby zejść z oczu Rudowskiej. Wszyscy inni stoją jak porażeni prądem, nikt nie ma odwagi nawet przełknąć śliny.

Rudowska to jedna z najfajniejszych nauczycielek w naszej szkole, inaczej nigdy bym się nie zgłosił do tego wieśniackiego konkursu. W tym momencie jednak wcale nie wygląda fajnie i najwidoczniej sytuacja ją przerasta. – Trze-ba-zadz-wo-nić-na-po-lic-ję – mówi; dostała czkawki, chyba siadły jej nerwy. – I-na-po-go-to-wie-górskie.

– Pani Elu, po co zaraz na pogotowie – mówię pojednawczo. – Nudziło im się i poszli na mały spacer. Pójdziemy ich szukać i zobaczy pani, znajdziemy ich za następnym zakrętem. – Niech się pani niepotrzebnie nie pogrąża – mam na końcu języka, ale powstrzymuję się w ostatnim momencie. Rudowska wygląda, jakby miała zaraz upaść.

– Te-go jesz-cze brakowało. Że-bym was też straciła z oczu – mówi piskliwie.

- Niech pani na razie zadzwoni do fundacji - proponuję w końcu. Lepiej by było znaleźć ich samemu, bo jeśli wyjdzie na jaw, że Rudowska pozostawiła nas bez opieki, to nie chciałbym być w jej skórze. Ale wiem, że banda małych latków nie jest dostatecznym wsparciem i Rudowskiej potrzebny jest drugi dorosły, żeby była w stanie zebrać się do kupy.

- Nie trzeba dzwonić. Już jadą - mówi nagle Mirka i podskakuje do góry, wskazując ręką na szosę ciągnącą się zakręconą wstęgą w dole zbocza. Kierujemy spojrzenie w tamtą stronę i widzimy niebieskie kombi, to samo, które czekało na nas wczoraj, kiedy wieczorem dotarliśmy do schroniska. W milczeniu idziemy za Rudowską do bramy wjazdowej. Samochód wspina się pod górę, przejeżdża przez otwartą bramę i zatrzymuje się na podwórku. Wyskakuje z niego ten sam co wczoraj okrągławy, brzuchaty gość na cienkich nogach i podbiega do Rudowskiej, która o dziwo patrzy na niego takim wzrokiem, jakby miała ochotę obedrzeć go ze skóry.

- Gdzie są moi uczniowie? - wrzeszczy Rudowska do gościa z niebieskiego samochodu. - Co zrobiliście z dziećmi?

- Kogoś brakuje? - mówi Cienkogrubawy, jakby nie całkiem dotarło do niego to, co wyrzaskuje ogłupiała ze strachu Rudowska. Przebiega oczami po twarzach dziewczyn i marszczy się, jakby coś kojarzył. - Anka Wilk? - pyta i sięga do kieszeni po komórkę. - Anna Wilk i Adam Rostocki - mówi Mirka. Cienkogrubawy wykręca numer i zaraz uzyskuje połączenie, widocznie przy takiej pogodzie jak dzisiaj nie ma problemu z zasięgiem. - Na górze brakuje dwójki -

mówi bez wstępu do telefonu. Słucha odpowiedzi i patrzy na nas wzrokiem, z którego trudno cokolwiek odczytać. W każdym razie ma mocniejsze nerwy niż Rudowska, albo po prostu nie denerwuje się, bo to nie on w razie czego będzie musiał za to beknąć. – Muszą być w sypialni dziewczyn – rzuca spokojnie i pierwszy wchodzi do schroniska. Podążamy za nim bez protestu; w międzyczasie jakoś odechciało mi się śmiać. Wiemy, że Anki i Adama nie ma w sypialni dziewczyn, ale wiemy też, że facet z fundacji musi przekonać się o tym na własne oczy. Skoro Rudowska straciła fason, to on przejął stery i trzeba będzie powoli wytłumaczyć mu, co i jak. Zastanawiam się, skąd przyszła mu na myśl sypialnia dziewczyn po tym, jak zatelefonował do swoich koleśków z fundacji, i jakim cudem udało mu się skojarzyć twarz i nazwisko Anki, chociaż wczoraj widział nas po raz pierwszy i to tylko kilkanaście minut. Mam nadzieję, że Rudowska jednak powiedziała chociaż im, to znaczy fundacji, że ma zamiar dzisiaj romansować we Wrocławiu zamiast się nami opiekować, bo inaczej ma mocno przechłapane.

N.N.

Spacerowicze zgromadzeni na alejce otaczającej malowniczy staw w parku Julianowskim nie dziwią się zwykle byle czemu. Tak więc nawet zestawienie fioletowego szlafroka ze spodniami od garnituru, zaprasowanymi w poprawny kant, i wyglansowanymi do

połysku czarnymi lakierkami nie wzbudziło w nikim większego zainteresowania. Właściciele psów, pary zakochanych i emeryci przechadzający się wokół stawu nie zwracali szczególnej uwagi na siwowłosego pana w podeszłym wieku, rozłożonego w takim właśnie stroju na jednej z ławek.

Sensacji nie wzbudziły również rozmiary konsumpcji dokonywanej właśnie przez miłośnika niecodziennej garderoby. Może gdyby ktoś przyjrzał mu się przez dłuższą chwilę, dostrzegłby coś niezwykłego w ilości odpadków, które zdążył ulokować pod ławką w przeciągu ostatniej godziny. Wśród bywalców parku nie było jednak widocznie ludzi skłonnych zajmować się dłużej cudzymi sprawami, tak więc zachowanie starszego pana, zajętego właśnie odwijaniem kolejnego kurzego udka ze srebrnej cynfolii, było całkowicie ignorowane.

Posiadacz lakierków najwyraźniej był już najedzony do syta albo po prostu zaczynało mu się trochę nudzić, bo w pewnym momencie wstał i pomaszerował w poprzek spacerowej alejki otaczającej staw. Po drugiej stronie alejki na zielonej łączce grupa lekko ubranych osób w różnym wieku przybierała w milczeniu dziwaczne pozy, naśladując ruchy trenerki w ciemnoróżowym dresie. Była to grupa adeptów Tai Chi, którzy spotykali się w parku przy ładnej pogodzie, żeby wspólnie wgłębiać się w arkana tej trudnej sztuki.

Starszy pan dodreptał do grupy i przyłączył się do ćwiczących. Nie spuszczaając oka z brunetki w różowym dresie z samozaparciem stanął w rozkroku i przeniósł ciężar ciała na jedną, a potem drugą nogę. Następnie widocznie uznał, że ćwiczenie ćwiczeniem, a towa-

rzystwo towarzystwem i zawarcie nowych znajomości nikomu jeszcze nie zaszkodziło. – Ho, ho – powiedział do ćwiczącego koło niego mężczyzny, postawnego czarnoskórego w obcisłym dresie, pod którym rysowały się potężne mięśnie. – Ho, ho, kiedyś byłem bardzo wysportowany. – Jego sąsiad uśmiechnął się do niego uśmiechem z serii „nie zwracaj pan głowy” i dalej w skupieniu przenosił ciężar ciała z przedniej na tylną nogę, jak gdyby od tego zależały losy tego świata. Starszy pan odczekał chwilę, a kiedy jego wyznanie nie doczekało się spodziewanej odpowiedzi, ponowił próbę: – Na nartach jeździłem świetnie – wyjaśnił tonem przechwałki. – Ho, ho, mało było takich, co jeździli tak jak ja. Podnosiłem również ciężary. Wyglądałem zupełnie jak pan – obwieścił z dumą w stronę swojego chwilowego sąsiada, podwijając rękaw szlafroka tak wysoko, jak tylko się dało. Następnie przyjrzał się swojemu bicepsowi z pewną dozą zdziwienia. Widocznie oględziny nie wypadły zbyt pomyślnie, bo z pewnym zażenowaniem opuścił rękaw i obwieścił: – W każdym razie byłem dobry, a i teraz niejednemu młodzieńcowi potrafiłbym dać radę. – Rozejrzał się w koło po ćwiczących, jak gdyby oczekiwał, że któryś z nich podejmie to niecodzienne wyzwanie, ale jakoś chętnych nie było; wszyscy, zarówno panowie, jak i znacznie liczniejsze tu panie zajęci byli samymi sobą oraz brunetką w różowym.

Siedząca na pobliskiej ławce kobieta w średnim wieku przyglądała się z rozbawieniem, jak panu w fioletowym szlafroku znudziła się zabawa w wygibasy i jak odłączywszy się od grupy pomaszerował z powrotem w kierunku ławki, na której spoczywała

w dalszym ciągu jego wypełniona prowiantem torba.

Niecodzienne zachowanie właściciela fioletowego szlafroka musiało jednak w końcu wzbudzić zastrzeżenia któregoś ze spacerowiczów, bo niedługo po tym, jak starszy pan ulokował się z powrotem na ławce, wykwitła przed nim krępa, odziana w czarno-szary mundur sylwetka strażnika straży miejskiej, pilnującego tu jak zwykle porządku i nienaruszania zasad parkowego regulaminu. Regulamin, widniejący na rozstawionych przy wejściowych alejkach tabliczkach, jasno obwieszczał odwiedzającym, czego w parku robić nie należy. Co prawda nie zabraniał nikomu występowania w porannej garderobie, natomiast na pewno była w nim wzmianka o wyrzucaniu śmieci wyłącznie do przeznaczonych do tego celu koszy.

- Proszę nie wrzucać śmieci pod ławkę - powiedział surowo strażnik, starając się wyrzucić na swoim rozmówcy wrażenie stosowne do odpowiedzialnej funkcji, którą pełnił dopiero od tygodnia. Nie miał jeszcze wielkiej wprawy w wywieraniu odpowiedniego wrażenia i peszyło go to co nie co; miał nadzieję, że przynajmniej w tym przypadku pójdzie mu w miarę gładko. W końcu miał do czynienia tylko ze starszym panem, a nie z bandą rozwydrzonych dwudziestolatków. Strażnik pochylił się dyskretnie i pociągnął nosem. Nie poczuł zapachu alkoholu i dodało mu to otuchy, bo bardzo nie lubił przekomarzanek z podchmielonymi obywatelami, którzy na ogół nie umieli docenić powagi sytuacji.

Niestety i w tym przypadku nie wyglądało na to, żeby starszy pan przejął się zbytnio uwagą strażnika. Spojrzał na niego co prawda w pierwszej chwili z pew-

nym zainteresowaniem, ale nie przeszkodziło mu to wcale wyciągnąć kolejnego kiszzonego ogórka z trzymanego na kolanach słoja i z zapalem zabrać się do konsumpcji.

– Powrzucał pan kości pod ławkę – powiedział jeszcze surowiej strażnik. – Czy nie wie pan, że nie wolno śmiecić? – Miał zamiar dodać jeszcze coś od siebie na temat narażania zdrowia psów, których zawsze sporo kręciło się po parku, ale w końcu uznał, że dalsze argumenty są zbyteczne: regulamin to regulamin.

Starszy pan zajrzał pod ławkę i na jego twarzy pojawił się widok przelotnego zdziwienia, a następnie wzruszył ramionami i sięgnął znowu do słoika.

– To nie ja – wyjaśnił rzeczowo. – Proszę zapytać tę panią – wskazał na sąsiadkę z pobliskiej ławki, piszącą coś zapamiętale w grubym notatniku. – Potwierdzi, że siedzę tu dopiero od minutki.

– A to? – wykrzyknął triumfalnie strażnik, wskazując na płócienną torbę leżącą na ławce koło starszego pana. Staruszek powędrował wzrokiem za jego wyciągniętym palcem i stropił się. Z torby wyłaniało się zawiniątko w srebrnej cynfolii, z której wystawał kawałek pieczonego kurzego udka.

– Faktycznie, to moja torba – wymamrotał zdziwiony i przyjrzał się podejrzliwie torbie, jakby przypuszczał, że ktoś chce mu spłatać jakiegoś złośliwego figla.

– Nazwisko – powiedział urzędowo strażnik i wykonał ruch, jak gdyby miał zamiar sięgnąć do kieszeni po bloczek mandatowy. Zastanawiał się, czy rzeczywiście powinien go wyjąć i udać, że wypisuje mandat, żeby trochę nastraszyć niesubordynowanego obywatela. Staruszek wzruszył ramionami i popadł w filo-

zoficzną zadumę.

- Nie wie pan, jak się pan nazywa? - zapytał poirytowany strażnik, a jego ręka powędrowała z powrotem w kierunku kieszeni z bloczkiem mandatowym.

Starszy pan podrapał się w głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego zażenowania; strażnikowi wydało się nawet, że poczerwieniał odrobinę pod brązem posezonowej opalenizny.

- Adres? - zapytał mniej już pewnie strażnik, co spotkało się z mniej więcej taką samą reakcją starszego pana. Powziął podejrzenie i sam teraz podrapał się w głowę, nie wiedząc, jak się zachować. Starszy pan sięgnął do kieszeni szlafroka, wyjął z niej telefon komórkowy, odemknął klapkę, popatrzył przez chwilę na ekran, ponaciskał niemrawo kilka przycisków i podał telefon strażnikowi, który z zaskoczenia odwzajemnił jego ruch i trzymał teraz komórkę przed sobą w na wpół wyciągniętej ręce. Przyjrzał się jej przez chwilę w osłupieniu, nie za bardzo wiedząc, co ma z nią począć, i już miał ją oddać prawowitemu właścicielowi, kiedy jego wzrok odcyfrował w przelocie pierwszą pozycję z wyświetlającej się właśnie na ekranie listy. - Adrian Baka, syn - obwieszczał ekran. Pod spodem widniało jeszcze kilka innych nazwisk. - Ma pan syna? - zapytał strażnik. Starszy pan ucieszył się. - A tak, Adaś - powiedział biorąc do ręki telefon i przebierając nerwowo palcami po klawiszach. - Adaś wszystko panu powie. - Jaki Adaś, przecież miał być Adrian - pomyślał strażnik i pomógł starszemu panu nacisnąć na odpowiedni przycisk. - Synku? - zapytał po chwili staruszek, przyciskając słuchawkę do ucha. - Jakiś pan chce właśnie z tobą porozmawiać. Obieca-

łem, że wszystko mu powiesz. Nie, nie jestem w domu. Gdzie? Poczekaj, zaraz się dowiem. Albo nie, najlepiej zapytaj go sam. To bardzo miły pan, właśnie tu tak sobie trochę gawędzimy. – To powiedziawszy, podał telefon strażnikowi, który przytknął go do ucha z lekkim westchnieniem.

– Adrian Baka po tej stronie – powiedział zdenerwowany męski głos. – Gdzie go pan znalazł?

– Tu straż miejska. Jesteśmy w parku Julianowskim – odpowiedział strażnik, któremu to sformułowanie wydało się trochę dziwaczne. – Chce pan tu przyjechać po ojca? Jeżeli pan chce, możemy go też odwiedzić pod wskazany adres. Jesteśmy zmotoryzowani.

– Będę bardzo zobowiązany – powiedział zdenerwowany głos. – Tak będzie chyba najszybciej. Nie mam pojęcia, jak wymknął się z mieszkania. Zamknąłem na klucz, który wziąłem ze sobą do pracy.

– Zamyka pan ojca na klucz? – zapytał zgorszony strażnik i pomachał ręką swojej towarzyszce z patrolu, która właśnie zbliżała się wzdłuż alejki polizując łoda kupionego na straganie pod muszlą koncertową.

– A co by pan zrobił? – odpowiedziała z westchnieniem słuchawka. – Dobrze, że nic się nie stało. Sielankowa dwanaście, mieszkania dwa. Będę tam za jakieś dwadzieścia minut.

Anka

Nasz autobus z napisem „Wycieczka szkolna” liczył sobie aż dwadzieścia dziewięć miejsc siedzących.

Pani Ela wystraszyła go nie wiadomo skąd, nie chcąc jechać minibusem, który jej zdaniem był niewygodny i nie nadawał się do ośmiogodzinnej jazdy, bo tyle właśnie trwała droga w stronę gór. Niemotka spóźniła się jak zwykle i zasapana wskoczyła do autobusu, tachając za sobą swój ogromny plecak, dobrze po jedenastej. Ponieważ plecak był wielki i ciężki, musiał zostać załadowany do luku bagażowego, a dopiero potem już bez dalszych opóźnień ruszyliśmy w drogę.

- Zabrałaś do plecaka słonia? - zapytał Adam, który na widok plecaka Niemotki złapał się dramatycznie za głowę. - Niemotka wzruszyła ramionami, jak można się było spodziewać, a odpowiedź dostał od siedzącego obok Mateusza. - Węgiel - oznajmił Mateusz z absolutnym przekonaniem. - Jesień się zbliża, chłody idą. Będziemy dorzucać do pieca. - Mirka roześmiała się przypochlebnie, jak zawsze, kiedy Mateusz powiedział coś, co uważał za dowcipne. Pani Ela dała sygnał do odjazdu i ruszyliśmy z kopyta, w znakomitych humorach, jak można się było spodziewać po grupie uczniów gimnazjum, którym przytrafiła się tak niesamowita gratka jak zwolnienie z pierwszego tygodnia zajęć szkolnych, a w zamian za nie - wspólna wycieczka w nieznane. Co prawda nad wycieczką sprawowała pieczę nasza nauczycielka od biologii, czyli pani Ela, za którą nikt aż tak bardzo nie przepadał, ale też i niczym szczególnym nam jeszcze nie podpadła, więc ogólnie było okej.

Mieliśmy luz, bo była nas tylko jedenastka: po trójce z obu pierwszych i czterech drugoklasistów, plus pani Ela. Chłopcy oczywiście rzucili się natychmiast na tył, gdzie było akurat pięć miejsc, tak że dla

nas pozostały podwójne siedzenia po obu stronach autobusu. Magda i Kruszyna jako patentowane lizuski usiadły najpierw z przodu za kierowcą, gdzie rozsiadła się też pani Ela, żeby na początek nie zostawiać jej samej, ale po chwili, kiedy okazało się, że jazda wcale nie przeszkadza kierowcy w rozmowie, uznały, że ma rozrywkę zapewnioną, i dołączyły do nas na tył. Dziewczyn było pięć, więc Magda i Kruszyna najpierw usiadły obie koło Niemotki, żeby być jak najbliższej chłopaków oczywiście, bo trudno przypuścić, żeby tak zależało im na jej towarzystwie. Ale potem kierowca kazał zapiąć pasy i w rezultacie Magda, która musiała się przesiąść, siedziała sama, wykręcona do tyłu, żeby słuchać, co wygadują Mateusz i Michał. Inni chłopcy też zresztą ciągle próbowali się dołączyć, ale nie całkiem im się to udawało, bo trudno przegadać Michała z Mateuszem, kiedy akurat zejdą się we dwójkę.

A potem Ela zrobiła nam niespodziankę: wstała ze swojego miejsca za kierowcą i przywędrowała do nas na tył autobusu. O dziwo wcisnęła się na miejsce koło okna obok Magdy, która teraz przestała się odwracać i usiadła porządnie, robiąc uprzejmą minę pod tytułem „bardzo mi miło”, chociaż wątpliwe, żeby rzeczywiście była zachwycona perspektywą dalszej podróży pod ścisłą kontrolą. Widziałam przez szczelinę między oparciami foteli, jak Ela zwraca się do Magdy, ale nie usłyszałam ani słowa, bo głośne śmiechy i gadanina z tylnego rzędu zagłuszały skutecznie całą rozmowę. Wyszłam więc z założenia, że i tak prędzej czy później dowiem się, o co chodzi, i skupiłam się na tym, co działo się z tyłu. Też zaczęłam gadać głupoty, żeby nie myśleli, że mają monopol na poczucie humoru.

Niemotka przyglądała mi się z podziwem. Niemotka pisze co prawda bardzo ładne wypracowania, za które dostaje zawsze same szóstki, ale powiedzenie kilku zdań przychodzi jej z widocznym trudem i czerwieni się przy tym niekiedy po korzonki włosów, nie wiadomo, czy z zawstydzenia, czy z wysiłku.

Nie trwało to długo, bo wkrótce pani Ela opuściła tył autobusu i wróciła na swoje miejsce za plecami kierowcy. Wydawało mi się, że była trochę speszona, co raczej do niej nie pasowało – chociaż tak naprawdę trudno ocenić, co do niej pasuje, a co nie, bo rzadko mówi o sobie i mało ją znamy.

O dziwo, zamiast zawołać Kruszykę, po odwróceniu Eli Magda zwróciła się do mnie i Niemotki. Może nie mogła darować Kruszyce, że załapała się na lepsze miejsce. Wyglądała przy tym, jakby miała nam do zakomunikowania nie wiadomo jaką sensację.

– Słuchajcie dzieci, ale jazda – powiedziała rozpromieniona. – Nie mówcie chłopakom, będziemy miały tajemnicę. Możemy robić miny, niech sobie pozgadują, o co chodzi.

– A o co chodzi? – zapytałam, bo nie byłam pewna, czy mam wielką ochotę na robienie min.

– Przesiądź się tu do mnie – powiedziała Magda. – Wszystkie po kolei, Anka pierwsza. Opowiem wam po kolei na ucho. Niech wiedzą, że omija ich coś ważnego.

Taka nachalna rywalizacja między dziewczynami a chłopakami zawsze wydawała mi się dość głupawa, a już na pewno nie podejrzewałam chłopaków o to, żeby nasze szeptania sobie na ucho wzbudziły w nich nadzwyczajnie wielką ciekawość. Ale sama byłam cie-

kawa, a i owszem, więc chcąc nie chcąc dosiadłam się do Magdy i dałam sobie wyszeptać w ucho pierwszą część opowieści, co Magda zrobiła ostentacyjnie, tak, żeby nikt nie mógł nie zauważyć, a resztę dopowiedziałam już półgłosem, bo i tak przy warkocie motoru i śmiechach dochodzących z tylnego rzędu nikt inny nie mógł jej dosłyszeć.

- Będziemy jutro sami w schronisku - powiedziała Magda. - Zupełnie sami, ale jazda, żadnej Rudowolskiej, żadnego nadzoru, nikogusieńko. Możemy robić, co chcemy, dopóki nie wróci, czyli koło czwartej po południu. Rudowolska wyjedzie zaraz po śniadaniu, a my mamy siedzieć w środku i uważać na siebie. Poza tym możemy robić, co nam się żywnie podoba, bylebyśmy nie wychodzili ze schroniska. Zresztą brama będzie zamknięta na kłódkę. Oczywiście ścisła tajemnica, nikomu ani mru mru. W nagrodę do końca września nie będzie robiła zwykłych lekcji, tylko pokaże nam filmy o zwierzętach w Afryce. Mamy się nie wygadać przed resztą klasy, skąd ta przyjemność.

- Fajnie - powiedziałam, a pomyślałam, że nawet bardzo fajnie. Mniejsza o filmy, nie miałam nic przeciw lekcjom biologii. Ale co innego pętać się z nauczycielką, chociażby najfajniejszą, a taką Ela raczej nie była, a co innego perspektywa rządzenia się samemu, chociażby tylko przez jeden dzień. Nie miałam wątpliwości, że Michał i Mateusz wymyślą coś ciekawego, i sama miałam zamiar aktywnie się do tego przyłączyć.

- A wiesz, dlaczego? - zapytałam, bo sprawa domagała się zapytania. Wiadomość była rzeczywiście dość sensacyjna, jako że przecież pani Ela miała obowiązek opiekowania się nami i w Warszawie nie było

mowy o żadnym wyjeździe.

- No właśnie, i to właśnie jest zupełnie niesamowite - zachichotała Magda, a końce uszu poczerwieniały jej z przejęcia. - Wyobraź sobie, że chyba wiem. Do Rudowolskiej uśmiechnęło się szczęście... Wiesz przecież, że ona chodzi z mamą Kruszyny na koszykówkę i czasem odwiedza ich w domu. No i akurat jakiś tydzień temu Kruszyna podsłuchiwała rozmowę, to znaczy podsłuchiwała, jak Rudowolska zwierza się jej mamie. Wiedziałaś, że ona jest rozwiedziona i nie ma dzieci? Mieszka sama i widocznie trochę jej się nudzi, bo wynalazła sobie przez Internet jakiegoś amanta na odległość. Facet mieszka gdzieś tutaj w okolicy, niedaleko Wrocławia. Jest podobno co i rusz w rozjazdach za granicą, prowadzi jakąś firmę czy coś. No więc dla mnie wszystko jasne. Po dwóch miesiącach gadania przez Skypa w końcu naszła ich chęć, żeby się spotkać. To musiało być tak, że gość dowiedział się od Rudowolskiej o wycieczce szkolnej akurat w te strony i oczywiście zaproponował jej mały skok w bok. Wszystko pasuje.

- A ona się zgodziła? - zapytałam z powątpiewaniem, bo trudno mi to było sobie wyobrazić. - Zostawić nas bez opieki?

- Ojejku, przecież nie jesteśmy małymi dziećmi - powiedziała ze zniecierpliwieniem Magda. - Jedzenie możemy sobie odgrzać sami. I tak nie mieliśmy wielkich planów na pierwszy dzień, bo ognisko z niespodzianką jest dopiero wieczorem. Powiedz Niemotce, tylko tak, żeby nie usłyszał nikt z tyłu.

Potem Magda odwróciła się do siedzącej po przeciwnej stronie Kruszyny i zawołała ją do siebie. Prze-

siadłam się więc z powrotem na swoje miejsce i wtajemniczyłam w sytuację Niemotkę, która tylko wzruszyła ramionami.

- No to dobrze, że wzięłam ze sobą książki - powiedziała, nie zdradzając większego zainteresowania sercowymi sprawami pani Eli. - Wam też mogę pożyczyć. Starczy dla wszystkich.

- Masz cały plecak książek? - zaśmiałam się z Niemotki. W szkole Niemotka zajmowała się głównie czytaniem pod ławką jakichś grubawych powieści, a najdziwniejsze było to, że wyrwana do odpowiedzi zawsze jakimś cudem wiedziała, o co chodzi, tak że nauczyciele dali jej po jakimś czasie spokój i przestali domagać się, żeby nie zabierała książek na lekcje.

- Nie cały. Mama spakowała mi plecak - wyznała niemrawo Niemotka. - Nie mam pojęcia, co tam naładła. Ja tylko dołożyłam na wierzch książki - zakończyła i odsapnęła z widoczną ulgą.

Przyglądałam się, jak Magda wyszeptuje swoją sensacyjną relację po kolei Kruszyńie i Mirce, aż w końcu z ostatniego rzędu padło oczekiwane zapytanie:

- Co wy tam tak szepczecie, laseczki? Namawiacie się, żeby nam zrobić kocówę? Zobaczymy, kto komu. My też wam przygotujemy parę niespodzianek, nie, Michał? - zawołał Mateusz, przekrzykując ogólny zgiełk.

- Coś się wymyśli - zapewnił ich wszystkich Michał, łypiąc w stronę Magdy. - Mam w zanadrzu kilka sztuczek...

Wszyscy się roześmieli, bo było to ulubione powiedzenie Mateusza, i jechaliśmy dalej w doskonałych humorach. Po drodze chłopcy nie dopytywali się o nic,

wiedząc, że u Magdy żadna tajemnica nie uchowa się na dłużej niż przez chwilę, i mieli rację, bo w momencie, gdy kilka godzin później wysiadaliśmy z autobusu przed budynkiem górskiego schroniska, wszyscy już byli dokładnie poinformowani, że pani Ela ma internetowy romans.

Tuż przed dojazdem na miejsce Ela przypomniała sobie, że zgodnie z zapowiedzią ma przed wejściem odebrać wszystkim komórki, więc gdy autobus zatrzymał się przed schroniskiem, wszyscy właśnie dzwoniли do domu z wiadomością, że są już na miejscu. Niektórzy krzywili się trochę na tydzień „bez dostępu do świata”, jak to dramatycznie ujął Michał, ale w tym punkcie Ela była nieubłagana. Po pierwsze mieliśmy integrować się z naturą i zrezygnować w tym celu z ostatnich zdobyczy cywilizacji, a po drugie podobno w schronisku był słaby zasięg i w zeszłym roku doszło do nieszczęśliwego wypadku, kiedy małolaty z Krakowa zaczęły wspinać się na co się da, żeby złapać połączenie, włączając w to słup wysokiego napięcia. Może zresztą był to jakiś inny słup, tego pani Ela nie umiała lub nie chciała powiedzieć; zresztą nie dopytywaliśmy się za bardzo.

Sprawa komórek przysłoniła całkowicie internetowy romans Eli i może dzięki temu obyło się bez głupich chichotów i porozumiewawczych spojrzeń, których się obawiałam, bo są po prostu obciachowe. Wypakowaliśmy plecaki, wydaliśmy okrzyk na cześć gór, pożegnaliśmy kierowcę i machając mu na pożegnanie przekroczyliśmy bramę. Grupowe zwycięstwo w konkursie przyrodniczym opłaciło się bardziej, niż mogliśmy to sobie wymarzyć: był słoneczny letni wieczór,

przed nami tydzień włóczenia się po górach, ognisko z niespodzianką i cały szereg innych atrakcji zorganizowanych na naszą cześć przez fundację „Natura”. Rozejrzałam się po terenie. Budynek prezentował się okazale, nie wsadzono nas do jakiejś podupadłej nory. Oby tak dalej, pomyślałam. Zapowiadał się nie byle jaki tydzień.

Ela

Obudziłam się na dźwięk telefonu. Podniosłam się z łóżka, wymacałam komórkę na nocnej szafce i przycisnęłam po omacku znany mi na pamięć przycisk wyłączający funkcję budzenia. Leżałam przez chwilę z otwartymi oczami, przygotowując się duchowo do wstania i pozwalając, żeby plany na dzisiejszy dzień powoli wkroczyły w obszar mojej świadomości. W miarę wkraczania plany wprowadzały mnie w coraz lepszy humor, co jak powszechnie wiadomo działa wybitnie przeciwnie i po chwili takiej kontemplacji ochota na dalszy sen znikła bez śladu, zastąpiona przyływem zdrowej, czystej energii.

Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że melodią, która wyrwała mnie ze snu i przeniosła w stan pozytywnych wibracji, nie był sygnał budzika, na który wybrałam sobie utwór spokojny i melancholijny, niezrywający człowieka z pościeli w stanie spoconego przerażenia, ale pozwalający na powolne, stopniowe zaznajomienie się z sytuacją, czyli koniecznością przejścia w stan czuwania.

Tym razem w stan czuwania wprowadził mnie rytmiczny i dziarski sygnał oznaczający, że gdzieś tam w szerokim świecie znajdowała się osoba żadna nawiązania ze mną natychmiastowego kontaktu. Spojrzałam na ekran komórki: zgadzało się, ktoś dzwonił do mnie chwilę temu. Mogłabym przysiąc, że poprzedniego wieczoru wyłączyłam telefon, żeby oszczędzać baterię, przy czym funkcja budzenia działała zawsze, nawet gdy był wyłączony, o ile tylko pozwalał na to stan naładowania. Widocznie wieczorem nacisnęłam omyłkowo nie ten przycisk co trzeba.

Na ekranie wyświetlił się numer nieodebranego połączenia; ogarnęło mnie złe przeczucie. Jeśli dzwonił o tej porze, mogło to znaczyć, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego i spotkanie, myśl o którym wprowadziła mnie w tak dobry humor, spaliło na panewce. Postanowiłam myśleć pozytywnie i nie martwić się na zapas, jak również nie przejmować się, jeśli okazałoby się najgorsze i miał zamiar wymówić się od spotkania pod jakimś durnym i niewiarygodnym pretekstem. Odchrząknęłam, odśpiewałam gamę i stwierdziwszy, że jestem już w stanie mówić bez porannej chrypki, nacisnęłam na przycisk połączenia.

- Cześć - powiedziałam do słuchawki, kiedy rozległ się w niej znajomy głos. - Coś się dzieje? Byliśmy umówieni na wpół do dziesiątej.

- Cześć, piękna nieznajoma - odparła słuchawka przyjemnym miłym barytonem. - Przepraszam, że niepokoję cię o tej porze. Mała zmiana planów. Nie pogniewasz się chyba?

- To znaczy? - powiedziałam, przygotowana na najgorsze i nie dając po sobie poznać rozczarowania.

Grunť to trzymać fason, nawet, a raczej zwłaszcza wobec pięknych nieznanomych.

- To znaczy, że pompa paliwowa w moim aucie grozi strajkiem generalnym i muszę postawić je w warsztacie - powiedziała słuchawka. Rozczarowanie zakłuło mnie boleśnie w okolicach żołądka. Więć nici z pięknego dnia w towarzystwie błyskotliwego amanta. Można się było tego spodziewać. Prawdopodobnie poznał kolejną, bardziej interesującą rozmówczynię, od której na co dzień dzielila go mniejsza odległość, co dawało zawartej na czacie znajomości znacznie lepsze rokowania na przyszłość.

- To znaczy, że musimy być w warsztacie we Wrocławiu najpóźniej o dziewiętej, bo potem przyjadą umówieni wcześniej klienci. I żeby zdążyć, musimy wyjechać... właściwie teraz - powiedział miękki baryton w słuchawce. Zdezorientowana spojrzalam na zegarek.

- To znaczy? - zażądałam dalszych wyjaśnień. - Bo nie rozumiem...

- Stoję przed twoją bramą - wyjaśnił baryton. - Pomyślałem, że tak będzie najlepiej... Żeby nie budzić cię niepotrzebnie zawczasu. Ile czasu potrzebujesz na wyjście?

- Dzieci jeszcze śpią... - powiedziałam, starając się nie krzyczeć z entuzjazmu. - No dobrze, zostawię im kartkę. Daj mi kwadrans.

A więc jednak. Zamiast zwykłej wycieczki szkolnej - wreszcie okazja do wygrania czegoś dla siebie. Zamiast watahy nieokrzesanych gimnazjalistów - On.